

# BLUSZCZ

**PRENUMERATA W WARSZAWIE:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20. — Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska № 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50. Cena numeru pojedynczego kop. 20

**PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE  
 POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.**

Wychodzi pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

Ekspedycja główna: ul. Nowy-Świat 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administr. „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz nonparelowy lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim: We Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu“, Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przes. poczt. kor. 6.60. W Krakowie u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30 mk.



Ś. p. ELIZA ORZESZKOWA.

# JEJ TESTAMENT

„Na granicach Korony i Litwy siadła nad księgą żywota mądra i dobra, mocna i cierpliwa niewiasta, erytrejska Sybilla, podtrzymując na potężnych barkach strop olbrzymiego gmachu odrodzenia społecznego“. Temi słowy składając przed kilkoma laty hołd jubileuszowy od kobiet polskich „tej która nas wiodła do światła i czynu, tej która strzegła znicza miłości ojczyzny w sercach młodzieży, tej która prawdzie dawała świadectwo, a umiłowała sprawiedliwość“ zamknęłyśmy Jej charakterystykę.

Dziś księga żywota ukończona. Orzeszkowa ze śmiercią dopiero opuściła posterunek, który pozostanie osierocony po Niej, niezastąpiony tam, gdzie wielka powaga z wielkim hartem ducha wyjątkowe stwarzały stanowisko.

Tak wszakże, jak stary Krak z Legendy Wypiańskiego, co zrosł się z Wawelskiem grodzikiem, że nie mógł odejść po zgonie z ukochanych stron — i musiał wiecznie u stóp góry, przy wiślanych wód fali pozostać — i Ona nie odcodzi daleko w zaświaty, prochów swoich grobowcem legnie na straży ziemi, a duchem matki obejmie pokolenia.

Czterdziestoletnim przeszło trudem pracowitego żywota wyrzyła Orzeszkowa testament, za którego spełnienie odpowiedzialność ponosi cały naród.

Jest to testament wytrwania do ostatka i „wierności w rzeczach małych“, testament zachowania wszystkiego co ludzkie, w najszlachetniejszym tego słowa pojęciu, testament zdobywania każdego dobra — pracą duchową szczerą, odważną, gorącą, testament wyrzeczenia i twardej odporności wobec wszelkich omamień zbytku i poz rów, testament nieugiętości i prostoty.

Tylko tyle.

Orzeszkowa nie zostawiła w swych dziełach żadnego programu określonego w politycznym znaczeniu; jej program przechodzi ponad czasem, ponad partiami, ponad zmianami położenia, jej program zdaje się mówić: Polaku, jakakolwiek jest presya z zewnątrz, ty nie zapominaj, że masz być Człowiekiem, nie z siebie piętna ludzkości zetrzeć nie zdoła, nie cię od obowiązku człowieczeństwa nie może uwolnić, nie uciezki z życia ludzkim życiem, nie usprawiedliwia.

A człowieczeństwo, jak je Orzeszkowa rozumie i kocha — piękne jest i dostojne. Jest ono koroną stworzenia, a szczeblem ku boskości.

Orzeszkowa żąda, wymaga, rozkazuje, aby ludzie mieli charakter.

Na tem polega ważność jej wychowawczego wpływu.

Dobrotliwa i wyrozumiała w życiu, niezmiernie łaskawa i wylana dla przyjaciół, przyjmująca ludzi z wszystkimi ich słabościami, których umiała nie dostrzegać, promieniąca jakąś już wyższą, ponadziemską mądrością, blizką ogólnej absolucji — w pismach swoich do końca zachowuje bezwzględność i twardość wymagań, bo wie, że tego właśnie narodowi potrzeba w czasach, które wszelką

relatywność uwielbiły, wszelkie powątpiewanie, wszelką chwiejność sądu i zamiarów z pieczołowitością pielęgnują.

Nieprzyjaciółka wirtuozostwa, nieprzyjaciółka dyletantyzmu, nieprzyjaciółka snobizmu i egotyzmu — nieraz może zbyt jaszkrawo wykazywała w życiu społecznym skutki tych, minujących całe pokolenie apetytów i zboczeń, na figurach o karykaturalnej raczej fizyonomii, to wszakże szkodziło tylko jej sztuce, a nie jej racji. Chciała zaś rację swą jaknajgłośniejszą, jaknajdobitniej wyrazić, podkreślić i jeszcze raz powtórzyć, i raz jeszcze, aby gdy jej nie stanie, pamiętano długo ten głos ostrzegawczy i nakazujący.

Służba społeczna jest rdzeniem najistotniejszym jej pragnień, dążeń i czynów. Tę służbę przekazuje nam, wobec świeżej stojącym mogiły, przez usta swych stałowych bohaterów, przez własne wskazania i przykłady, przez ideę przewodnią całego swego dzieła.

Ukochać każe nam życie proste, obojętne surowemu oddane, jaknajbliższe żywicieli ziemi, co jest i skarbem, który utrzymać należy i zarazem mądrą wychowawczynią duchowego człowieka. Każe doskonałość wewnętrzną za cel pierwszorzędną postawić i stale, z całą powagą dążyć „ad astra“, bez kompromisów i bez wahania.

Nie porzucać kraju, kamieniem trwać, wrosć w ziemię, tu na miejscu życie stwarzać koło siebie, na skromnych stanowiskach, z pełnym poczuciem odpowiedzialności, z największym natężeniem wszystkich władz twórczych, z żywą, gorącą miłością dla idei i dla ludzi, oto nakazy Jej testamentem zostawione, a stwierdzone przykładem pracowitego żywota.

J. Oksza.

## Podzwonne

nad grobem Elizy Orzeszkowej.

Skreśliła

EUGENJA ŻMIJEWSKA.

Nad całą Polską zagrzmiał dzwon pogrzebowy. Zadygotało jego serce, jęknęło, uderzyło głośniejszą od śpizanego serca „Zygmunta“, rozniosło wieść żałobną na wsze strony, gdziekolwiek biją polskie serca, niosło je do Litwy przez równiny Mazowsza i niziny Pomorza, niosło ponad kurhany, niosło pod Wawel, pod Górę Zamkową, niosło od morza do morza i dalej po przez Ocean — rodakom, zebrany w imię wielkich ukochań.

Zabiło podzwonne sercu, które ogarniało miłością każdy zakątek ziemi rodzinnej, i wszelkiej ziemi, zroszonej naszym potem i łzami naszymi.

Rozkołysały się serca polskie — zalem po Tej, która pół wieku niemal brała w swe serce wszystkie cierpienia swego narodu, dla wszystkich znajdowała wyraz piękny i odczucie głębokie. A miała to odczucie nietylko dla cierpień swego narodu. Stać ją było na dwie pieśni: ojczystą i wszechludzką.

I śniła, że już ziścić się mają na ziemi słowa wielkiego proroka: „I oto miecz, przekuty na lemiesz, i oto lew troskliwie czuwający nad cichym snem jagnięcia“. I śniła, że powstał „płaszcz ogromny, płaszcz miłości, pod którym przed ulewą nieszczęść ziemskich stoją ludy pojednane różne, lecz równe, w różnicach swych uszanowane, w prawach do życia i szczęścia zrównane“.

Tak śniła...

Te rojenia do ziemi zbliżyć, to było zadanie jej życia, to był cel jej istnienia, to nie przewodziła jej długoletniej pracy, jej służby publicznej, jej kapłaństwa.

\* \* \*

Wyszła ze swym pługiem i stanęła na niwie społecznej w chwili, gdy „kobiety zapragnęły wyzwolić się z pęt anielstwa“, gdy zapragnęły pozbyć się przywilejów, a wyciągnęły rękę po prawa.

Stanęła na rozstaju i wskazała im drogę. Właściwie nie: *wskazała*, lecz *wskazywała ją* bez przerwy, bez wytchnienia przez lat czterdzieści i trzy. Drogowskazem dla nas była jej miłość ku wszelkiej sprawie dobrej. Nie uznawała spraw innych. Wogóle nie miała „spraw“: ani *sprawy* kobiecej, ani *sprawy* żydowskiej, ani żadnych, znała tylko *sprawę* jedną, a tą była sprawa „dobra“. Nie przelewała myśli i serca w ciasne korytka, zasilała niemi jedną wielką potężną rzekę — miłości ogarniającej świat cały.

To było znamię jej talentu, jej działalności prywatnej i pisarskiej. Kochała tak mocno, tak długo, aż serce poddać temu kochaniu nie zdołało i zwałtłone siłą miłości osłabło, a gdy mimo to nie zmniejszała się miłość, pękło z nadmiaru uczuć, zamarło na zawsze.

Lecz, nad otwartym grobem wzniesić można okrzyk, wydawany nad trumną francuskich monarchów: „Umarł król! Niech żyje król — jego spadkobierca!“

Orzeszkowa umarła.

Spadkobiercami są jej dzieła, spadkobiercami jest całe społeczeństwo polskie.

Niech żyje!

Niech gromko biją jej podzwonne serca nasze, niech jej grób stanie się symbolem życia, odrodzenia w duchu. On nam mówić będzie słowami proroka Ezechiela:

„Oto ja otworzę groby wasze, a wywiodę was z grobów waszych, ludu mój“.

\* \* \*

Płynie głos dzwonów, niesie wieść żałobną: *Orzeszkowa umarła*. Zwołuje Polskę nad jej mogiłę, zwołuje do świątyni. Rozkołysały się dzwony. Biją w górę modły, a na trumnę spadają garście ziemi ukochanej, udęczonej, ziemi, której oddano drogie zwłoki.

Nad schylonemi kornie głowami unosi się jej wielki duch i ogarnia te modły i szubując wyżej jeszcze, niż szubował w cielesnej powłoce, oręduje za nami jeszcze skuteczniej, jeszcze wymowniej, niż orędownął gdy oczyma cielesnymi patrzył na nasze bóle i krzywdy.

\* \* \*

Rozkołysały się serca, biją podzwonne, zwołują się wzajem z największych dali. Orzeszkowa umarła. Niech żyje! Niech żyje!



SALON ELIZY ORZESZKOWEJ.

## W hołdzie czci ś.p. Elizie Orzeszkowej.



„Zmęczyłam się — nie pracą, która owszem była mi sprężyną i samą treścią życia, lecz okolicznościami, wśród których ją pełniłam“ — pisała w r. 1905 Orzeszkowa w przepięknym liście swoim, pisanym do p. M. Cz. Przewóskiej, (zamieszczonym przez tą ostatnią [w książce p. t. „Eliza Orzeszkowa“]).

Zmęczyła się — służbą ofiarną, którą wytrwale przez lat czterdzieści z górą pełniła i... odeszła.

Cześć i hołd Jej pamięci!

Cześć tem głębsza, hołd tem serdeczniejszy, że, choć odeszła, zostawiła nam w spuściznie plon długoletniej, rozumnej pracy pisarskiej, całą skarbnicę spostrzeżeń i myśli, które długo jeszcze [stanowią] będą linię wytyczną prostych, górnych, dostojnych dróg życia.

O dróg tych orientację w kierunku prawdziwego postępu, to jest dążenia do Prawdy i Dobra chodziło jej zawsze przedewszystkiem.

Straciliśmy w niej bojowniczkę za słusność — czcicielkę ideałów Ludzkości najdroższych — strażniczkę świętych ogni, przy których płomieniu rozgrzewa się i hartuje wola do czynu — wychowawczynię trzech bez mała pokoleń — straciliśmy Kobiętę mądrą i dobrą, Obywatelkę, której nazwisko złotymi głoskami wpisane być powinno w dzieje ducha narodowego...

... „Chcę, mówiąc do Boga: „Przyjdź królestwo Twoje““, czuć, że sama jestem jedną z prądek, wysnuwających nie złotą, na której królestwo wielkiego Dobra zwolna opuszcza się ku ziemi“...

Ziściło się to zbożne pragnienie, świadczące o czystości jej serca i szerokoskrzydłym wzlocie myśli.

W szeregu takich prądek zajmie Orzeszkowa miejsce naczelne.

Wszystkie bowiem zagadnienia etyczne, wszystkie prądy reformatorskie dążące do transponowania współczesnej duszy ludzkiej na ton wyższy, trzymający strój Człowieczeństwa dostojnego, znajdowały w Orzeszkowej rzeczniczkę tem wymowniejszą, że pracy Jej jak sama mówiła „było na imię: walka o sprawiedliwość i światło“. (... „Drugim imię-

niem jej było: cierpienie“ dodawała we wspomnianym już liście).

Cierpienie — boć nie można nazwać inaczej braku szczęścia rodzinnego — dobrym stało się dla Orzeszkowej mistrzem.

Pchnąwszy ją na drogę pracy umysłowej, najpewniejszego dla twórczości literackiej podłoża, zbudziło w gorącym a zbolełym sercu młodzieńczej wówczas kobiety, głęboką i szczerą miłość Człowieka, bezbrzeżne współczucie dla wszystkiego co małe i uciśnione, co skrzywdzone i słabe, co do światła się preży i do szczęścia wyciąga ramiona.

Bodźcem cierpienia osobistego powołane do życia, do coraz artystyczniejszego ujawniania się słowem, Miłość i Współczucie staną się rysem znamionym fizjonomii moralnej — w kobiecie *Autorce*.

Ale, nie mniej od tamtej dostojna, kobieta-Obywatelka zawdzięczać będzie swoje narodziny cierpieniu... ogółu.

Zainteresowało ono umysł i serce zagadnieniami, które tragizm życia wysunął na plan pierwszy...

„Miałam lat 20 — słowa są listu Orzeszkowej — gdy kraj nasz zaległa głucha, ciemna noc... Przeżywałam noc tę w miejscu, gdzie była ona najgłuchszą i najciemniejszą“...

Nie dodaje, że sztandaru pod którym walczyła „o sprawiedliwość i światło“ nie uрониła z rąk nigdy, że stał się on osią całego jej światopoglądu, z latami coraz szerszym roztaczającym się kręgiem, bo wiecznie duchem młoda, ciągle szła naprzód z żywymi, niestrudzenie „podnosząc ręce ku budowaniu ołtarzy Dobra“.

Jednym z tych, które dźwignęła była powołanie kobiety polskiej do zajęcia stanowiska obywatelskiego, do uruchomienia tego zasobu energii społecznej, jaki przedstawia Kobieta w ogóle, a w szczególności Polka, silnie związana z Ojczyzną węzłami miłości i obowiązku.



POKÓJ DO PRACY.

Zająwszy odrębne, czysto narodowe stanowisko w obec t. zw. „kwestii kobiecej“, zdobyła Orzeszkowa wpływ przeważny na bieg myśli Polki, dążącej do wyzwolenia kobiety z pod ucisku praw, przesądów, obyczajów, rutyny, wreszcie, z których jedne krępują jej samodzielność, drugie zaprzeczają jej niemal człowieczeństwa, odmawiając jej prawa do wiedzy.

Za pierwszy krok postawiony na drodze wyzwolenia stawia Orzeszkowa kobiecie postępek moralny.

„Żadnego separatyzmu z drugą połową rodu ludzkiego, żadnego wynoszenia się ponad nią, żadnej zawziętości za doznane krzywdy!... Jeżeli kobiety tego zadania pełnić nie zechcą, niechaj raczej o pierwszy kamień spotkany swą lampę rozbijają!... Nauka wtedy tylko stanowi prawdziwą wartość cywilizacyjną, gdy towarzyszą jej takie pierwiastki kulturalne, jak: dobroć i cnota obywatelskości“...

Jakąż więc będzie, w pojęciu Orzeszkowej, kobieta przyszłości „godna używania praw przez zrozumienie obowiązków“?

Odpowiem na to własnymi słowami szlachetnej — daj Boże, proroczej — optymistki:

„Nad otchłanią, w której głębiach niezliczone męczarnie i winy dręczą ciała i duchy milionów, widzę unoszącą się postać wielką i słodką, mądrą i dobrą, współczującą i czynną... Jedną dłonią kruszy podstawę, na której wznosi się cielec złoty, drugą tępi ostrza i zamyka otwory narzędzi morderczych..

... „Postać ta mnoży się, znajduje się wszędzie. U kolebek dzieci, nad głowami pacholąt, u boku mężów, na polach, kędy potem spływają rolnicy, w zamkniętych ścianach, kędy z tajemnicami wiedzy i zawikłaniami myśli walczą uczeni...

... „Aż powoli, stopniowo, w powodzi roznieconych przez nią światel, wznosi się ołtarz bóstw dobrych i łaskawych, a ludzkość modlitwą i czynem cześć im oddając, wznosi się ku nim, oczyszcza się i uświęca: jest uratowana!...

... „Lecz kimże jest ta postać cudowna?...

... „Jest to, przygotowana przez walczącą kobietę XIX wieku, kobieta apostołka i reformatorka, kobieta *MĘDRZEC* i *ANIOŁ* wieku XX-go“.

Czczym dźwiękiem słów pochwalnych byłoby wszystko, com powyżej napisała, gdyby nie było to wstępem do konkretnego wniosku, którego postawienie celem jest niniejszego artykułu.

A wniosek to następujący:

W liście swym do kobiet niemieckich zwraca się Orzeszkowa do wybitnych przewodniczek ruchu kobiecego tak w Europie jak w Ameryce i proponuje założenie stowarzyszenia, ogarniającego cały ogół kobiecy, którego pierwszym i głównym zadaniem byłaby praca nad doskonaleniem się moralnym kobiety, Orzeszkowa nazywa to „Związkiem Cnoty“ i w tymże samym liście daje szkic kodeksu moralnego, obowiązującego marzony przez nią związek.

Paragrafy zasadnicze brzmią, jak następuje:

- 1) Pracować nad poznawaniem siebie.
- 2) Niszczyć w sobie wady charakteru przez ćwiczenia systematyczne w tym zakresie.

3) Ćwiczyć *wolę* w kierunku solidarności.

4) Ćwiczyć *współczucie* przez współdziałanie w cierpieniu bliźnich.

5) Ukształcić w sobie *poczucie sprawiedliwości* przez zakładanie godności i dumy człowieczej i narodowej nie na posiadanej potędze siły fizycznej, lecz na cnocie, na rozumie, na czynach sprzyjających szczęściu ludzi. A to wszystko: celem przygotowania lepszej ery świata przez stawianie oporu wszystkiemu, co jest fizycznym albo moralnym morderstwem — wynoszeniem siebie, a poniewieraniem innymi — szerokim rozładaniem się przy biesiadnym stole, a spychaniem innych na niziny“.

Otóż mniemam, że zanimby myśl zrzeszenia się w podobny związek przyjęły kobiety całego świata, zanimby go zorganizowały i działalność swą z nim rozpoczęły, dużo wody upłynie...  
A tymczasem — czy nie najsilniejszym dowodem czci naszej dla pamięci Orzeszkowej byłoby stworzenie „Polskiego Związku Cnoty im. Elizy Orzeszkowej“? Związku, który zrzeszałby wszystkie do „budowania ołtarza Dobra“, chętne do „doskonałego poznania“, dążące — do torowania sobie „człowieczej drogi“, sposobne — „od wypatrywania z cudzej ręki kawałka chleba powszedniego“ dalekie — powierzona im „lampę bożego światła“ w nabożnych niosące dłoniach... Wszystkie — które łzom i krzywdzie bliźniego współczują, Prawdę i Pracę kochają, w Przyszłość wierzą „ad astra“ duchem się wnoszą, prządkami są „nici złotej“...

Wszystkie, które się czują córkami swego narodu i do wspólnej pracy *pro publico bono* stanąć gotowe skwapliwie!  
Te stanowić mogą jądro Związku, założycielkami jego się staną. Łowczyni dusz, apostołki i reformatorki, garnęłyby w swe sieci jednostki wybrańsze, do wlotów na górne szlaki skorsze, rozwoju moralnego chciwsze, wzniosłym hasłom chętniej ucho dające..

I stałby się „Polski Związek Cnoty“ trwałym pomnikiem hołdu naszego dla Tej, która wierzyła, że kobieta, „siła nowa“, wnie- sie w stosunki międzyludzkie nowe czynniki dobra, „jako pierwiastki jej swoiste, wszechpione w nią przez naturę i historię“.

A projekt powstania podobnego związku popieram tem usilniej, że myśl o nim musiała być snąc blizką sercu Orzeszkowej, kiedy za ostatnim pobytom w Warszawie mówiła o nim z kilkoma osobami, (między innymi i z niżej podpisaną), kładąc nacisk na ogromną korzyść moralną jaką mógłby on przynieść społeczeństwu, wytraconemu z równowagi wstrząśnieniami ostatnich lat paru, zachwianemu u podstaw przez wpływy lub wręcz nam nieprzyjazne lub tak obce, że samą obcością swoją naruszają ów ład i harmonię, które w zdrowym społeczeństwie panować powinny.

Skoro — według rzewnych słów Słowackiego — „słońce przestało świecić snowi“ jej życia, niechże jej się ziści przez nas ten sen, ostatni może... jeden z najpiękniejszych, jakie śniła.

Skoro — według rzewnych słów Słowackiego — „słońce przestało świecić snowi“ jej życia, niechże jej się ziści przez nas ten sen, ostatni może... jeden z najpiękniejszych, jakie śniła.

Skoro — według rzewnych słów Słowackiego — „słońce przestało świecić snowi“ jej życia, niechże jej się ziści przez nas ten sen, ostatni może... jeden z najpiękniejszych, jakie śniła.

T. Prażmowska.

# W Przyszłość.

Sygnaly wieku.



„Celu nam zawsze i ciągle potrzeba dalszego nad materialne granice“.

Z. Krasieński.

Sygnalizacja ideowa nowych drgnień twórczych w XX-go w sferze rzeczy, które się stają, przed widomem przyjściem w światy zjawisk, w zasadniczych swych liniach już uchwytna, należy bodaj do najciekawszych w dziejach ludzkich myśli.

Zapadają w niebyt światy stare, a jakieś bujne w treść duchową życie nowe jawi się już na rumowiskach rzeczy, których do życia powołać nie zdołał wiek XIX-ty. Bilansami wielu bankructw wykazał natomiast brak łączności ideału z życiem, rozbieżność celów i środków w chaosie swych dążeń bezcielesnych.

Były hasła i były idee. Nie stało dla nich życiowego gruntu; luźnie stawianym gmachom — cementu.

Oto wieku minionego bilanse.

Godne uwagi najwyższej — memento.

Materyał do syntezy wieku.

Dojrzałe ziarno na siew nowy.

Niepospolity plon do porachunków.

Dokumenty, idącej stąd „nauki rzeczy“ na przyszłość.

Dzieje w XIX-go miały być wyrazem hasel Wielkiej rewolucji.

Hasła były wysokie:

„Prawa człowieka“!

Na prawach tych, jak na opocec, dźwignąć się miał świat nowy ku wyżynom wolności człowieczeństwa.

Od *ideatu* tego odbiegło życie społeczeństw XIX-go w. aż w przeciwnie krańce..!

Nie obrońcę praw człowieka, ale ich pogromcę, siłą przed prawem idącego, wydał w typie najczystszy wiek XIX-ty.

Prawa człowieka miażdżył maczugą przemocy, barbarzyństwem instynktów pierwotnych, aż w orgiach bratobójstwa stłumił w piersi człowieczej wszelkie zaczyny człowieczeństwa.

Nie kulturze ludzkiej, humanitarnej zbudował fundamenty, ale — wilczej. Sztandary wielkich hasel poszły — w strzępy. Postęp zatoczył linię wsteczną, kultura wszechwynaturzeń zdusła rozwój ludzkości swą żelazną obręczą.

W *jestestwie swem zwyrodniały człowiek* dokonał tego dzieła upadku.

A był to właśnie owce tego błędu, jaki popełnił w XIX-ty względem prawa rozwoju człowieka. Stąd ten potworny rozdźwięk życia z ideałem.

Zabezpieczenie praw ludzkich warunkuje człowiek. Wartość jego wewnętrzna stanowi o wartości spraw życia ludzkiego. To jedyne *prawo rozwoju*, na którym gruntuje się postępek człowieczeństwa.

Wielkie to prawo właśnie nie stanęło na sztandarze dziejów XIX-go w., ale przeciwnie: człowiek tu zezedł do roli biernego mechanizmu. Naturalną drogą poszły stąd porewolucyjnego okresu bankructwa.

Cały nacisk w reformach zamierzonych położono na wydoskonalenie systemów maszyny państwowej. „Umowa społeczna“, obwarowana paragrafami „kontraktów“, miała być tym ustrojem idealnym, w którym człowiek zdobędzie swe prawa. Stało się inaczej, bowiem najdoskonalszy ustrój znieprawia lichy człowiek.

Już sam porządek haseł w wielkiej rewolucji zmijał się z psychologią duszy ludzkiej w postępie. Tylko na podstawie Braterstwa ukształtować się mogła harmonijnie Równość, jako podstawa Wolności.

Na straży tych bóstw postępu postawiono traktaty pisane, których narzędziem wykonawczym jedynie miał być człowiek. Na indywidualną, twórczą inicjatywę jednostki nie było miejsca w takim mechanizmie społecznym którego tylko jedną ze szrub sprawnie działających, miał być człowiek-automat.

Mechanistyczny ten pogląd na życie znalazł swe odpowiednie poparcie w nauce. Pozytywizm obcinał człowieka o całą głębię jego wewnętrznego życia duszy. Sam wyraz „dusza“ stał się tu wyrazem bez treści.

Materyalistyczne pojmowania dziejów w naukach społecznych ukoronowało te systemy uwstecznień człowieka w ideałach—socjalistycznego kolektywizmu, obwarowanego szanami praw ustroju społecznego przed twórczymi wpływami jednostki.

Nihilizacja ludzkiego Ja szła po tej drodze coraz to dalej powodując coraz skuteczniejszy zanik wyższych, *organizujących* cech jaźni ludzkiej, na korzyść niższych instynktów podczłowieczej natury, które znalazły ostateczny swój wyraz w hasłach: siły przed prawem, hakaty, oraz praw eksterminacyjnych względem narodów uciśnionych.

Ostatecznym chwastem takiej kultury wyjaławiającej ludzkość z zacyzów humanitaryzmu, stały się hasła: *walki klas* a outrance, w powikłanych antagonizmach interesów egoistycznych władców pięści, panów położenia, z prawem człowieka do rozwoju, do szczęścia.

Kultura Kainizmu, mordów bratobójczych, szła śladami tego ustroju, *gdzie dusza ludzka włączona została za „nawiasy“* postępowych dążeń.

Uwsteczniiony w swym rozwoju człowiek przerobił zatem na swój sposób szczytne hasła wielkiej rewolucji, czyniąc z nich w końcu pożałowania godną parodię.

Z Wolności uczynił Samowolę, Równości przeciwstawił siłę pięści, a na grobie Braterstwa posiał bujnym chwastem — bratobójstwo kultury wilczej...

Najdoskonalej obmyślane paragrafy praw pisanych ustępowały przed bezprawiem obyczaju, skoro ustrój społeczny pozbawiony został jedynej spajającej więzi, jaką jest i być musi w żywym organizmie zbiorowym — *sumienie* jednostek, jako *substancja normująca bieg rzeczy* prawidłowy.

Kultura płytkich egoizmów i dusz małych wyjałowiła życie społeczeństw nowoczesnych

z niezbędnych zacyzów idealizmu. Sybarytyzm zmysłowych zadowoleń, dochodzący do niebywalej pomyślowości w rozkoszach życia wyszukanego wykwinu w zbytkach i przepychu, ma zawsze na biegunie przeciwnym otchłań nędzy materyjalnej i moralnej.

Zaostrzyło to konflikty starć walki klasowej. Burzuj i ploretaryusz! Tylko ostre narzędzia walki na śmierć i życie — rewolucja socjalna z całym posiewem rozpasanych żądź i namiętności miała rozciąć te gordyjskie węzły.

Nie rozcięła ich i nie rozplątała. Przeciwnie zacisnęła jeszcze więzi tych wynaturzeń, wobec których tylko faryzeusz postępu głosić mógł z powodzeniem hasła walki zacieklej człowieka z człowiekiem, do bezpamięci, krew za krew, w świecie *ludzkich ustosunkowań* zasadę *walki zwierzęcych* doprowadzając aż do absurdu.

Na tem straszliwym pobojuwisku ginął nadewszystko Człowiek. Rozkładał się moralnie, upadał duchowo, w typie ludzkim uwstecznił się, działaniem tych fermentów, które zacyzami zwyrodnień zasnuwały dusze i ciała w silnie wzbudzonych instynktach pierwotnego barbarzyństwa rasy.

W takim układzie rzeczy wszelki problem życia—w prawdzie i sprawiedliwości oddalał się, nie zbliżał. Pozostawał kwestya otwartą, straszliwym pytajnikiem: Co dalej?

Ucisk niedoli niewolnictwa, przemocy i gwałtu kędyś swój kres przecież znaleźć musi w świecie *ustosunkowań ludzkich*, kulturalnych.

Wielki idą. Wielka rewolucja, od której wiek XIX-ty rozpoczął swą nową erę życia, wyłoniła z siebie bądź co bądź, wielki *ideał* postępu. Niestety, rewolucjonizm lat ostatnich to było tylko dogasanie tych haseł, które nie powinny wejść w posiewy życia na twórczy wiek XX ty — *drogami błędów* swego poprzednika.

*Swą własną drogę wiek nowy znaleźć musi.*

Będzie nią poszukiwanie *praw*, życiem narodów i jednostek rządzących, poznawanie *środków*, wież mających do celu, nie zaś *odwodzących* odeń z konieczności.

I oto mamy już te sygnały wieku naszego w znamienym zwrocie do założeń *życia wewnętrznego* jednostek i narodów.

Hasła *zdrowego indywidualizmu*, acz dotychczas jeszcze silnie wypaczane przez pokolenie rozwichrzńców anarchizmu, poczynają jednak torować sobie drogę wielkiego czynnika przemiany ku wysokim postępkom człowieczeństwa. Ten czynnik konstrukcyjny, duszę narodów i jednostek *organizujący na podstawie wyższych pierwiastków rozwojowych* wyłania się już z chaotycznych posiewów destrukcji, jako zacyznu rozkładu, na twórcze drogi życia w zespole tonów harmonii.

To dziejowy proces wybitnego postępu naprzód przez *zstępowanie w głąb*, do istotowych źródeł rzeczy.

Nowe kierunki literackie, bujny rozkwit poezji, idącej w nurt głęboki mistyki życia wewnętrznego i w najnowszych dążeniach naukowej myśli w łonie naszej chwili, świadczą

o tem budzeniu się duszy wieku XX-go, która da dziejom świata wielką nową kartę.

Tę wspaniałą sygnalizację nowych ducha prądów daje nam już w zarysie nowych szkół socyologia współczesna. Le Play, Le Bon, Gaston Frommel, Foerster i cały zastęp badaczy praw postępu stają już na stanowisku niezbędności kultury *człowieka wewnętrznego*.

Le Bon w dziele: „Psychologia rozwoju narodów“ stawia twierdzenie kategoryczne, że „o rozwoju narodu stanowi nie inteligencja, ale charakter jednostek“. Rzym upadł w dobie wysokiego rozkwitu inteligencji swych obywateli, przez upadek charakterów i dusz. Do wniosku, że tylko *charakter i sumienie* człowieka są podstawą prawidłowego biegu spraw ludzkich dochodzi przekonującą argumentacją „nauki rzeczy“ wieku XIX-go socyolog szwajcarski Gaston Frommel. Za spajającą „substancję“ społeczną cementem wspólności interesów kultury uważa on *sumienie* jednostek. Człowiek niskiego poziomu moralnego obejdnie wszelkie prawo, wypaczy każdy, najdoskonalej pomysły ustrój społeczny. Nie *człowiek automat*, ale *człowiek sumienia* gwarantuje *prawa ludzkie* w umowach społecznych.

Głośnego imi nia uczony, prof. Foerster, przeprowadza gruntowną rewizję poglądu na walkę klasową ze stanowiska założeń cywilizacji. W pięknym dziele swoim: „Chrystyanizm, a walka klas“, (Zurich 1907) przełożonym już w r. p. na nasz język, wykazuje dowodnie znaczenie takich czynników jak: braterstwo i solidarność w interesach postępu ku lepszemu. Zasadę solidaryzmu szeroko uwzględniają najnowsze kierunki nauk ekonomicznych. Kooperatywy asocjacje robotnicze w Ameryce, Anglii i Niemczech dają wymowne świadectwo tej prawdzie, że nie walka klasowa, ale właśnie jak najszerszy solidaryzm rozciąga węzły konfliktów robotniczej sprawy. Wszędzie w krajach kultury ruch współdzielczy wchodzi w założenia twórcze ruchów społecznych charakteru etycznego. Amerykański ruch etyczny na fundamencie zdrowia moralnego buduje wielkie reformy, społeczny ustrój postępowy zapewniające. W tym duchu [dążeń] przeprowadza i reformę wychowania, szkolnictwa nowego typu, na *budowie człowieka* budowanie gmachów życia społecznego, opierając jak na opoce niewzruszonej.

Na całej linii reformatorskich usiłowań naszego stulecia dostrzegamy już ten znamieny zwrot—do człowieka. Dewizą wieku XX-go staje się już nasz Mickiewiczowski *ideał: postępu człowieka wewnętrznego*, stanowiącego alfę i omegę pochodzącego naprzód społeczeństw kultury, niebotyczne *prawo rozwojowe*.

Cała rzetelnie postępową działalność oświatowa, kulturalna, na tem prawie moralnem postępu oprzeć się już dziś winna podstawowo. Nauka rzeczy w w. XIX-ym aż po pierwszy dziesiątek XX-go ostrzega bardzo już wymownie przed sianiem wiatru, który sprowadza burze niszczycielstwa.

Budować *ludzi charakteru, ludzi sumienia*, to budować przyszłość. *Oświata dusz* jest czynnikiem niezbędnym zadań oświatowych.

Kształcenie uczuć humanitarnych: miłości bliźniego i współluczu braterstwa, wykluczającego wrogość i nienawiść ze stosunków prawidłowego życia człowieka w postępie, to drogi prowadzące do kształtowania człowieka w typie szlachetnie ludzkim. Tylko niezdrowa agitacja ludzi niedorośli do zadań przewodnictwa na polu oświaty, obiera drogi przeciwnie. Wybiera to, co jątrzy, a nie to, co goi naprężone stosunki międzyludzkie, idzie *walkę* nadewszystko, pomijając wszelkie możliwości zgody na gruncie wspólnego dobra członków jednej rodziny ludzkiej.

Dzieje się to zaś ze szkodą najopłakaniejszą interesów narodu. Naród, jako jednostka, stać musi na poczuciu solidarności interesów swoich członków, kształtował w sobie cechy swoiste, indywidualne, wyróżniające ją od innych rodów rasy ludzkiej i stanowiące zarazem ten czynnik łączności, który spaja harmonijnie ukształtowane już w sobie komórki w organizm, tworzy, żywy.

Tylko po linii doskonałego zindywidualizowania się w sobie człowiek, naród, czy rasa idzie w *prawidłowy* swój postęp, a przezeń do zadań ogólnoludzkich prostą drogą.

Jednostki stojące u steru spraw oświatowych zdać sobie muszą jasno i wyraźnie sprawę z obowiązku sterowania tą nawą w sposób do celu prowadzący. Do dusz nierozbudzonych na życia samoistne ciężką zarzą moralną idą wszelkie hasła ujemne: nienawiści, rozdrożeń, wyzywania na sądy ciężkich oskarżeń, z jednostronnych formułowane stanowisk.

Droga to najnieomylniej do zachwiania równowagi prowadząca, grunt jałowy, owoców zdrowia nie wydający, ale krzewiący zato bujne chwasty.

Tak prowadzona robota oświatowa w narodzie samoistnego bytu pozbawionym—to tylko praca grabarzy idei wolności. Jeżeli w dziejach Europy „nauka rzeczy“ w XIX-go stała się świętą pobudką do odwrotu ze wstecznych kulturalnie stanowisk na drogi nowe: budowania człowieka, to dla nas, w Polsce, krwawe lata ostatnie jakże pouczającą już nauką rzeczy być tu powinny. Nauką ostrzegawczą, że nie tak iść trzeba, jak się szło i jeszcze idzie, pod hasłami walki, i rozterek w rodzinie, ale: miłości, zgody, dążeń do porozumienia się drogą wzajemnych ustępstw.

Nie znaczy to bynajmniej wchodzić ze złem w kompromisy. Przeciwnie, w *zło otwarcie i stanowczo godzić trzeba*. Idzie tu tylko o to szlachectwo środków, bez których nie ma szlachetnego celu. Idzie o uwagę baczną jak iść ku dobremu, aby do niego *dojść*—w sposób godziwy, ludzki.

Z *ideałem* wysokiego dobra sprzęgać *życie*, to „z *żywymi* naprzód iść“?

M. Cz. Przewóska.

## Björnstjerne-Björnson.

25

Norwegia straciła po Ibsenie znowu najznakomitszego ze swoich synów.

Björnstjerne Björnson przyszedł na świat w d. 8 grudnia r. 1832 w Kvikne w Osterdal, jako syn pastora. Okolica Norwegii, w której urodził się przysły poeta, nacechowana była surowością i grozą przyrody; zimą śniegi sięgały nieraz do pierwszego piętra; równie surowi byli tam mieszkańcy i, tylko zawdzięczając olbrzymiej sile swej, umiał ich okiełznać ich duszpasterz. W roku 1838 pastor został przeniesiony do Romsdal i słą kontrastu tem większe wrażenie wywarł na przysłym poecie wspaniały krajobraz z utrzymaną w pysznej kulturze doliną, i piętrzącymi się dokoła górami, z szumem rzek i wodospadów i z przepięknym fiordem. Nieraz, kiedy młody chłopiec krążył na *ski* po okolicy, jaśniejącej w całym blasku gry słonecznych promieni, piękność krajobrazu wywierała nań tak



BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSON.

potężne wrażenie, że czuł się jednocześnie i oczarowanym i ogarniętym głęboką, bolesną tęsknotą.

A otaczało go ożywione życie ludowe szczerych, ruchliwych, zapalnych i kapryśnych mieszkańców Romsdalu—wszystko to nastroczało niejedno, co było warto i widzieć i słyszeć, a co stanowiło pożądaną karm duchową dla poety.

W szkole w Molde uczył się nie wiele, ale za to gorączkowo pochłaniał powieści, baśni, pieśni ludowe, a nadewszystko—stare sagi. Mając lat siedemnaście przybył do Chrystianii i, wstąpiwszy na uniwersytet, stał się przewodcą młodzieży, a to dzięki swojemu krasomówstwu i płomiennemu temperamentowi.

Wtedy to poczał nań wywierać wielki wpływ teatr i przysły znakomity dramaturg jał się pisywania krytyk teatralnych, nie z osobliwego powołania, lecz, jak się wyrażał, *ponieważ palce go świerzbiały*. Pisywał również pieśni, przez chłopów śpiewane, stworzył dzieło sceniczne, które wystawiono, ale wnet na skutek życzenia samego autora, cofnięto z repertuaru; zniszczył je a niebawem w r. 1858 napisał w ciągu czternastu dni rzecz o wiele dojrzalszą i poważniejszą: mały dramat *Między bitwami*.

Z dzieła tego tchnie gorąca miłość oj-

czyzny i pragnienie odtworzenia jej przeszłości w świetle rzeczywistości, ale opromienionem blaskami poezji, z odrzuceniem fałszywych akcesoryów romantyzmu.

Powodzenie tego dramatu postanowiło o powołaniu Björnsona.

Współczesny świat, życie ludu wiejskiego, stanowi przedmiot drugiej jego próby literackiej, uwieńczonej jeszcze świetniejszym powodzeniem. Napisał mianowicie w r. 1857 słynne opowiadanie *Synnöve Salbakken*, stwarzając odrazu arcydzieło, które mu przyniosło zagranicą sławę, a wielką popularność we wszystkich krajach skandynawskich. Bez najmniejszego trudu, jakby to było dlań igraszką, znalazł do nowej treści właściwą formę.

Odtwarza upór i powolność, dzikość i surowość, tklivość i hart—naprzemiany; w granitowej skalnej piersi płyną tysiące źródełek uczucia i poezji, a poetyckie jego ucho wszystkie szmery ich słyszy.

Poczucie potęgi natury, zmysł rodzinnego życia, mogący krzewić się tylko w bardzo ograniczonych warunkach, a przytem głęboka religijność—oto zasadnicze pierwiastki owych opowiadań; język pełen głębokiej naiwności, język sagi, język oddający każdą myśl w obrazie, a każdą ideę w baśni, język tchnący spokojną siłą i poczuciem czystości podnosi do potęgi treść pospolitą, z której tu i owdzie wykwita pieśń, to żartobliwa, to znów głębokim przepojona sentymentem.

Ponieważ sam ród swój z chłopów wywodzi, rozumie przeto myśli ich i uczucia i odtwarza je dosadnie; że jednak sam z nimi nie pracował i nie cierpiał, że Romsdal było dlań jedynie wspomnieniem młodości i okresem wypoczynku oddala to nieco owe, po mistrzowsku zresztą zarysowane chłopskie postaci od progu rzeczywistości i rozszerza niemiem szczuple granice ich duchowego widnokręgu

Wszędzie tam, gdzie kultura sama sobą się przesyciła, chłopkie nowele Björnsona niosły błogosławioną wieść o czystej ludzkości i naiwnej potędze, o sielankowym szczęściu i o poezji, która w górach jeszcze przebywa. Zapomniano, że Björnson wysnuwał owę szczerozłotą nić z własnego serca.

Nowele *Arne* i *Wesoły chłopak* również należą do najlepszych z tego cyklu.

Liryki Björnsona stanowią istny skarbiec klejnotów norweckiego piśmiennictwa. Zdaniem Brandesa stworzył on na tem polu najdoskonalsze swoje dzieła. Hymn narodowy norweski, poczynający się od słów: „*Tak my ten kraj kochamy!*“ wyszedł z pod jego pióra.

Na polu dramatycznym Björnson rozpoczął od dzieł, których treść przejął z prostaczych sag; ale są one już wolne od tklivości Öhlenschlagera.

Takie postaci, jak chroma Hulda w sztuce tegoż tytułu, która wszystko a nawet samego kochanka, poświęca demonicznej swej miłości, a potem wraz z nim ginie w płomieniach; jak Helga i Frakirk w trylogii o Sygurdzie, które nie cofają się przed żadnym przestępstwem, o ile tego wymaga potęga rodu i tem samem ród ów do upadku doprowadzają i subtelny, melancholizny Harald, którego zabija owo przerażające umiło-



wanie rodu i wreszcie sam Sigurd, w którego głowie roi się od planów, mających na celu pomysłność ojczyzny i który z nich właśnie wysnuwa przekonanie, że jego bezwzględny, z ludzkością nie wspólnego nie mającym obowiązkiem jest dążyć ku temu przez krew i pożogę... wszystko to a także i sceny pomiędzy Haraldem a jego chłopcem, pomiędzy Sigurdem a fińskim dziewczęciem—pojawiają się po raz pierwszy dopiero u Björnsona.

Talentu swego, jako organizator i aktor próbował Björnson, obejmując dyrekcję teatru, w latach 1857—59 w Bergen, 1865—67 w Chrystyanii; dwie prace dramatyczne w owych czasach powstałe: „Marya Stuart w Szkocji“ (1864) i „Nowożeńcy“ utrzymały się jeszcze do dnia dzisiejszego na scenie, aczkolwiek są zgola pozbawione nowych pierwiastków.

Wogóle zdawało się, że wyobraźnia poety już się wyczerpała: „Marsz weselny“ był błady w zestawieniu z poprzednimi jego dziełami, a następujące po nim prace graniczyły z manierą.

Nareszcie Björnson zamilkł.

Od roku 1867 mieszkał przeważnie zagranicą, w latach 1869—72 był współredaktorem ukazującego się w Kopenhadze pisma „Fox Ide og Birkelighed“, powrócił w r. 1875 do Norwegii i osiadł na stałe w Gausdal, w pobliżu Lilienhammer.

Tymczasem w Danii wszczął się ruch, który się rychło przeniósł do Norwegii: z nowymi czasami wdarł się tam powiew nowych idei. Strauss i Renan, Spencer, Darwin, Mille i Comte, tudzież Taine wraz z francuskimi realistami rozgościli się na dobre na północy i przed Björnsonem stanęła odrazu otworem brama niezmiernego świata.

A znów nowa treść myślowa jęła wymagać nowej formy.

Starożytne baśni, chłopskie opowieści i cały styl sagi odrazu poszły w ką.

Nowożytna treść ujęta w nowożytną formę!

„Upadłość“ i „Redaktor“ (1875); „Król“ (1877); „Leonarda“ i „Nowy System“ (1879); „Rękawiczka“ i „Ponad siły“ (1883); „Geografia i Miłość“ (1885); „Paweł Lange i Tora Parsberg“ (1898) i „Laboremus“ (1900)—a z opowiadań: „Magnbild“ (1877); „Kapitan Mansana“ (1879); „Kurz“ (1882) i „Zawieszają chorągwie w mieście i porcie“ (1884)—co za bajeczne bogactwo! Jaka druga wiosna!

I aczkolwiek Björnson oświeca tylko wewnętrzny świat wielkiego handlu i dziennikarstwa, aczkolwiek tylko pokazuje, jak różną miarą mierzy się moralność kobiety (patrz: „Leonarda“) i mężczyzny (patrz: „Rękawiczka“)—bez względu na to, czy wstępuje w polityczno-fizjologiczną arenę, czy też zmagają się z jakimkolwiek bądź prądem—zawsze prace jego są przeniknięte dążeniem do prawdy, prawdą myśli, prawdą uczucia, prawdą czynu, prawdą mężką, prawdą moralną.

I dzięki temu Björnson stał się nie tylko poetą, ale i wychowawcą swego narodu. Jego ideałem jest „wykształcić na indywiduala“ „masę“ narodu; rezultaty tego, co nam się

dzisiaj prawdziwym i słusznym wydaje—utożsamie z „wolą ludu“, wprowadzić życie w ową przyszłość, o której wszyscy marzymy, ale o czem wielu z nas wątpi. Lecz on nie wątpi nigdy; ograniczoność go nie przeraża; głupota, która wyгнаła go poza granice ojczyzny, nie rozgorycza go bynajmniej. Wielkie owo zadanie może rozwiązać tylko mały zaród, który zdala od wrzawy światowej, przygotowuje się do tego w spokoju,—oto, jak mówił poeta, nie tracąc nadziei i pracując nieustannie.

Władysław Nawrocki.

(DN.)



WANDA GROT-BĘCZKOWSKA.

## Kiedy narcyzy kwitną...



(Dokończenie).

Marychna od pewnej chwili przygląda się długim, czarnym włosom „tego pana“ i bandyckiemu kapeluszu o szerokich skrzydłach.

Kapelusz bandycki, włosy długie, powłóczyście spojrzenie aksamitnych oczu snują się teraz w jej pamięci wspomnieniem jakiegoś poety, którego spotykała niekiedy w salonie babuni. To ją olśniewa. Ale jest zarazem tak pomieszana i tak czerwona jak najczerniejszy mak...

„Ten pan“ rozkoszuje się i tą czerwienią i tem pomieszaniem i nie może oderwać aksamitnych oczu od tej dziewiczości przecudnej.

Po chwili mówi:

— Pozwoli pani... Marwicz do usług... Jerzy Marwicz... Wdzięczny jestem losowi, że dał mi sposobność spotkania pani...

Nowa fala rumieńca, aż po blade-złote loki rozwiane na czole.

Marychna kłania się.

Cały ogród z nią tańczy. Skaczą drzewa, ławki, oddalone sylwetki przechodniów...

A ten biedny mózg szesnastoletni mężczyzny nad rozwiązaniem pytania: Co ma uczynić młoda dziewczyna, pensjonarka, kiedy ją zaczepi mężczyzna, którego nie zna babunia, ani pani przełożona?

— Przepraszam pana... ale ja... ale ja... — zaczyna jąkać po długiej chwili — pan to rozumie, że ja nie mogę... że nie powinnam...

Głos uwiązł w gardle.

Turkusami i zieloną barwą morza mieniające się oczy zwilgotniały, jak kwiaty rosą perlistą nasiąkłe.

— Ja nie powinnam rozmawiać z panem... — szeptem dokończyła.

Wesoły uśmiech przemknął po twarzy Marwicza.

— Powinien... powinna... powinniśmy... powinniście... to dobre w gramatyce ale nie w życiu panno. Ależ—na brodę Mahometa — ja nie znam dotąd, nawet imienia tej, którą

los pozwolił mnie od wypadku złamania nózki uchronić... Niechże się pani ulituje nademną...

— Marya... — cichutko wyszeptwała.

Wstrząsnął bujną czupryną.

— Ach, Marya!... Marya, Mania, Marynia, Manusia... Przenigdy! To nie dla pani. Tylko Mara... Pięknie, prawda? I oryginalnie: Mara... Zrozumiałam? Nie bardzo. Ale głos jego brzmi tak dźwięcznie, słodko, że słuchałaby bez końca.

Od ulicy Królewskiej ktoś nadchodził.

Przełękła się...

— Muszę już iść... Babunia przysłała po mnie i gdyby kto ze znajomych lub z pensyi zobaczył mnie...

Marwicz uśmiechnął się łagodnie, dobrotliwie.

— Ach, przeżytki panno Maro... Trzeba na nowe wkraczać tory... Ja już dawno straciłem wiarę we wszystko co uznane... Czuję wstręt chorobliwy niemal do całokształtu stosunków, urzędów towarzyskich... Wolność, swoboda, to jedyne, cenne rzeczy na świecie...

Marychna nie bardzo go rozumie. W umyśle jej atoli utrwała się jedno: musi to być poeta, literat, stanowczo nie żaden zwyczajny śmiertelnik.

Jakieś rozkoszne uczucie dumy przenika pierś jej młodą i rozlewa się gorącą falą w całość jej istocie.

Ale „przeżytki“ Marwicza nie trafiły jednak do jej przekonania. Pensya i babunia, a raczej kodeks towarzysko-obyczajowy zatruwają jej słodczych chwil.

— Będę się starał spotykać panią często... — mówi Marwicz z pożegnalnym ukłonem.—Pani mi przecie winna trochę wdzięczności... — żartował.

.....

— ... Ptaku mój złocisty...

— Z zawiązanymi skrzydłami... — smutno uśmiecha się Marychna.

— Rozwiążę skrzydła... — szepnął z namiętnym błyskiem oczu Marwicz.

— Ee! Pan zawsze żartuje...

Marwicz przystaje na chwilę.

— Zatrzymajmy się... Ach, jak te pensjonareczki szybko chodzą...

W bocznej alei ogrodu sami tylko przystanąli.

Marwicz dotyka lekko ręki Marychny.

Wzmaga się w nim żądza posiadania tej pięknej dziewczyny. Wzrok jego ślizga się po jej postaci, odgaduje biel przeczystą młodego ciała i cudny zarys ramion.

I znów mówi stłumionym szeptem:

— Kwiecie przesłizczny...

Marychna figlarnie się uśmiecha.

— To coś jak litania... — żartuje.

Ale zaraz potem bezdennie smutnemi oczyma ogląda na Marwicza.

— Kwiaty nie hodują się bez słońca... — wzdycha.

— Prawda. A pani tak dużo, dużo potrzeba słońca...

— Jeszcze rok... Jeszcze jedna klasa...  
— mówi Marychna z niechęcią.

Marwicz boleje z nią razem.

— Biedna Mara... Biedny kwiat bez słońca... Czemż nie mogę chwytać promieni słonecznych pełnami garściami rzucać pod stopy mojej królowy...

— Panie Marwicz... — dąsa się zarumieniona Marychna.

— Oo! — przeraził się niby... — Patrzy pani na mnie tak groźnie...

Ach ten jego głos...

Marychna stoi z rękoma opuszczonymi bezwładnie i słucha, słucha...

Rozchylone wargi drżą pragnieniem pie-szczoty, ale ona o tem nie wie... Jej psyche gubi się jeszcze w mgłach nie-pochwytnych.

A Marwicz mówi szybko, smętnie:

— Dusze nasze tęskniły ku sobie... Ja to wiem, ja to odgadłem... A chociaż Biblia nic nie mówi o zjednoczeniu dusz i mówi tylko: „I będzie dwoje w jednem cielem”... ale to dlatego, iż w owych czasach duch ludzki tak nisko szybował nad ziemią, że Biblia zapomniała o jego prawach... — kończy już żartobliwie, tak go bawią zdumione oczy Marwiczny.

Potem długo milczą.

On patrzy... Magnetyzuje ją swemi ak-samitnemi oczyma, ona drży i czerwieni się...

Smutno jej i zarazem radośnie... Dobrze i źle... Chciałaby odejść... Czuje, że powinna odejść i — nie może...

Marwicz pyta:

— Co dziecku? O czem дума?...

Tęskniami oczyma ogarnęła, czarami wiosny odziany świat. I nagle opuściła ją nieśmiałość.

— Panu się zdaje — mówi szybko, namiętnie — bo pan tego nie odczuwa, bo pan jest swobodny... Ale ja — ja chcę żyć, rozumie pan? Chcę być ptaszkiem, kwiatem, wszystkim co żyje na swobodzie, w słońcu się pławi, rosę pije, oddycha szeroko, szeroko...

— Tak, tak... — potakuje obłudnie Marwicz. — Rozumiem... No i co? I co? Niech się pani wypowie... To ulży.

— A tymczasem... — kończy rozplamieniona dziewczyna — wargi i płuca moje zawsze spragnione powietrza, moje oczy tęskne z nienawiścią nieledwie uderzają w szare mury kamienie, mój mózg przetrawia jeno chemie, algebry, gramatyki i różne inne „tyki”... Oo! To jest okropne!

— Słusznie, słusznie... Jak mi pani żal... Obejrzał się...

Pusto... Cicho... Słońce przeziera przez zieloną gęstwinę liści i wiatr leciutki po wierchołkach chodzi.

— Maro... — ujął jej rękę. — Maro moja.

— Panie Marwicz, proszę...

— Przyjdiesz? Powiedz, powiedz...

Wyrwała rękę.

— Co ja robię? O Boże! Babunia czeka z obiadem...

Marwicz błaga:

— Chwileczkę jeszcze, Maro...

— Nie! Gniewam się...

Zarumieniona, wzruszeniem drżąca, odbiegła.

... Te oczy bez dna... te Fidjaskowe ramiona... to łabędzie wygięcie szyi...

Marwicz milknie.

Wzrok jego wpija się uparcie w delikatny deseń muślinowej bluzki lekko wyciętej.

— Te białe... cudne...

Fala krwi oblewa twarz Marychny.

— Cicho... — szepce miękko, bezsilnie.

Roześmiał się.

— Czemu? Spójrz w przyrodę, dziecko...

Nie rozumiała.

— Tak, dziewczyno przemiała! Tam tylko Prawda... Jesteśmy dziećmi natury, Maro... Ona nie kładzie pęt na rzeczy naturalne, czyste... Bo czemże jest miłość nasza? Kryształem, światłem, jasnością, bielą lilji, wonią jaśminów, narcyzów, konwalji...

Marwicz mówiąc pochyla się coraz niżej ku bujającej się w fotelu Marychnie.

— Ach ta czerwień warg dziewczyczych... świeżych... — szepce namiętnie. — Niepokalane... nietknięte dziewictwo... czar niewinności... pęk śnieżny...

W lazurowym mroku wieczora zaświeciły jego czarne, połyskliwe oczy.

— Ja — ja tylko rozdmucham wonne jego listki i wystrzeli kwiat cudny... mój...

Ostatni wyraz pada z za warg zbielałych prawie szepcem. Białe, duże zęby Marwicza uderzyły o siebie i zadźwięczały.

Marychna zadrżała.

Na powieki jej kładzie się coś ciężkiego zwolna, zwolna...

A pod powiekami zar...

Przesunęła palcami po oczach.

Marwicz spytał:

— Co tobie? Mów, dziewczyno moja, mów!.. Co czujesz? Co myślisz?

Słodki uśmiech przemknął po jej bladej twarzy.

... Tak jakby...

— No, co? co? Przemiała...

Marychna odrzuca z czoła blado złote pukle włosów.

Coś rozpala się w jej oczach nagle w mroku wieczora rozbłysłych.

I mówi jak do czegoś co jasne, świetlane, stanęło przed nią:

— Jak to rozkosznie kochać... To jakby nowe życie. Jakby wschodziły promienie nowej zorzy...

Marwicza wargi dotykają nieledwie jej ust.

— Tak... Zorza miłości... Pójdź, Maro...

Nagle dreszcz wstrząsa Marychnę. Zrywa się, Marwicza odpycha.

— Boże, Boże! Gdzież ja jestem?

Marwicz oprzytomniał.

Nad wzburzoną falą namiętnych pożądań zapanowuje myśl trzeźwa: nie trzeba płoszyć lekkiego ptaka, bo rozwinie do lotu skrzydła...

— Odpocznij, oprzytomniej, Maro... Co znaczy ta smutna minka?

Mara stoi przed zwierciadłem. Drżącymi palcami rozplątuje powichrzone nieco włosy, obciąża muślinową bluzkę.

Jest bardzo blada. Ma w sobie teraz, w całej postaci, w twarzy, w spojrzeniu, dużo wdzięku dziecka, które psotę wyrządzoną odkupić czemś pragnie. Dwie krople łez płyną ze zmaconych jak fale jeziora oczu.

Ale Marwicza to nie wzrusza. Pewny jest zwycięstwa.

Gąsiątko przemile — jak ją w myślach nazywa — trafi tu po raz drugi, trzeci, dziesiąty...

Ooo! Czyż on się na tem nie zna! Te biedne pensjonareczki sterczące na ławkach szkolnych przez długi szereg najpiękniejszych lat wiosnianych, te biedne pensjonareczki zamknięte jak zwierzątka w swoich panieńskich klateczkach z aniołami stróżami strzegącymi snów ich niewinnych, te biedne pensjonareczki sunące po ulicach wyciągniętym sznurem z pożądlwym uśmiechem jakiejś nowości, czegoś, coby je z pęt szablonu wyzwoliło choć na chwilę, zawsze chciwe jakiejś zmiany, wrażeń, swobody...

Marychna staje się nagle bardzo poważną.

Na twarz jej bladą wybija się jaskrawy rumieniec.

Z tą powagą, z tym rumieńcem staje przed Marwiczem i prostuje swą drobną postać jak palma wysmukła.

— Ja do pana przyszedłam, bo pan mówił, że siostra pańska chora i sama jedna...

— A tak! Ale lekarz polecił wywieźć ją na wieś i odjechała...

— Szkoda. — Zawahała się i zaczerwieniła bardziej jeszcze.

— Wobec tego... wobec tego, że pan ma teraz względem mnie obowiązki pewne...

— Ja? Honorem upewniam...

— Ma pan. Przecie pan — pan mnie prawie całował... — wstydlwie dokończyła.

— A tak. Właściwie chciałem...

— Widzi pan... I ja już teraz nie mogę do innego mężczyzny należeć, tylko do pana...

— Tak, tak! — dławi się Marwicz śmiechem.

— I ja zaraz dzisiaj opowiem babuni o wszystkim...

Marwicz osłupiał.

KONIEC.



## Z literatury.



„Macierzyństwo i ewolucja kapitalistyczna“, podług pracy J. St. Lewińskiego, zamieszczonej w „Revue d'Économie politique“ z r. 1909.

(Dokończenie).

Ciekawy opis życia miast z przed stu laty podaje Kiesselbach w r. 1860 w „Deutsche Vierteljahrschrift“ p. t. „Drei Generationen“, przytaczają go Schmoller i Sombart, powtarza za nimi J. Lewiński.

„Panowanie wrzeciona było wówczas



wszechwładne, fakt znany, że dziewczynę uważano za godną małżeństwa wówczas tylko, gdy sama umiała przygotować sobie płótno na wyprawę. Podobnie i materiały i obuwie sporządzano w domu. Meble, naczynia, ulegały temu samemu prawu. Niemniejszą rolę odgrywała piwnica i kuchnia. Jarzyny, owoce, pod osobistym dozorem i dzięki staraniom gospodyni, zasilaly szpitalnie i stoły. Świętem niemal rodzinnym było zabijanie wieprza. Robiono nawet świece i mydło. W sprawozdaniu swem w r. 1791 na kongresie Waszyngtońskim, M. Hamilton dowodził, że  $\frac{2}{3}$ , a nawet  $\frac{4}{5}$  ubrania ówczesnego było własnego wyrobu.

Obecnie kupujemy wszystko. Co spowodowało tę zmianę? Czy istotnie „technika“, jak przypuszcza Weber? Twierdzenie to nie tłumaczy wyczerpująco, ba, nawet najniższa cena danego produktu nie jest przyczyną tego że gospodynie nie pieką same chleba, nie hodują drobiu, nie uprawiają jarzyn i t. d. Najbliższymi prawdy są słowa K. Marksa, który mówi w dziele swem: „Misère de la philosophie“ — „Renta jest tą siłą, która idyllę wrzuciła w odmet historii“.

Z rozwojem i wzrostem miast, gdy ceny mieszkań szły w górę, musiano opuszczać ogrody, opróżniać stajnie, piwnice i strychy, kobieta pozbawiona została warsztatu pracy, to co przedtem wyrabiała sama, zmuszoną była teraz kupować, a ażeby móżdź kupić, musiała „zarabiać“, a więc opuścić dom i szukać zarobku po za nim. I to jest jedną z przyczyn pracy zarobkowej kobiety, to przejście z ekonomii przyrody do ekonomii pieniężnej, owa „renta“, która w ewolucji nowszej doby odegrała ważną rolę. Drugim czynnikiem był upadek przemysłu tkackiego wiejskiego. W Belgii jeszcze do roku 1825 rozwijał się on, zatrudniając około 158340 robotnic. Postęp mechaniki położył temu tamę, rugując pracę rąk, a zastępując ją motorem. Angielskie nici, jednakowo cienkie i numerowane, pobiły w rekordzie belgijskie, które nie dorównywały im drobiazgową akuracnością, stąd też przewaga transportu angielskiego i niemieckiego. W r. 1846 nastąpiła ostateczna likwidacja i przeszło 42000 ex-pracownic zapisano w biurze dobroczynności. Powstał proletaryat kobiecy, armja wykolejonych, gotowych przyjąć każdą pracę, jaką by im ofiarowano.

To samo powtórzyło się z koronkarstwem. Po krachu większość rzuciła się do fabryk cygar, dywanów, a nawet garbarni. Wzrasta natomiast liczba pracownic w przemyśle „moderne“, te nie opuszczają domów, zajmują się u siebie wyrobami na kauczuku, z włosów, pończosznicami lub wreszcie po pracowniach móżdź, sukien i pralniach.

Reasumując więc: proletaryat miejski wytworzyła „renta“, więc — upadek przemysłu domowego.

Rozdział II podaje statystyczne dane dotyczące się wzrostu pracy zarobkowej kobiecej. Zestawiwszy je widzimy, że rozrost jej przewyższa procentowo przyrost ludności. I tak, gdy w Niemczech ludność z 45 milionów wzrosła do 51 z górą, a więc biorąc procentowo o 14,48 — liczba rąk kobiecych wzrasta

o 23,60. I to nie w jakimś pewnym tylko dziale, lecz wszędzie za wyjątkiem marynarki i armii.

W Austrii liczba kobiet pracujących w latach 1869—1890 wzrasta o 43,9 procent. W Stanach Zjednoczonych nie mniejszy widać ruch w latach 1880—1900. Jedynie w dziale „służby domowej“ zauważyć się daje zniżka. Podług danych Armanda Julin, zawartych w jego dziele p. t. „Le travail des femmes belges dans la grande et la petite industrie“, widzimy, że procent kobiet pracujących w przemyśle wynosił w roku 1901 — 16,40. Najwięcej ich spotyka się w przemyśle tkackim. Drugie miejsce zajmują fabryki porcelany, fajansu, zapalek, tytoniu, wreszcie papiernie.

W Wielkiej Brytanii tendencja do usuwania kobiet z obrębu fabryk dotąd skonałować się daje. Z różnych danych statystycznych widać również przewagę liczebną kobiet zamężnych nad innymi, jednakże więcej ich pracuje w przemyśle domowym, niżeli zawodowym. Przemysłem domowym nazywamy: szwalnie, pralnie, magazyny móżdź, kwiatniarnie i t. d.

Obserwacje czynione w Belgii dowiodły, że kobieta zamężna przestaje być czynną w fabrykach w miarę, gdy dzieci przybywają. Natomiast stara się ona dopomóc sobie za pomocą tak zwanych „posług“ domowych, lecz dochód z nich nie jest w stanie opędzić najniezbędniejszych potrzeb rodziny. Stąd wniossek, że okoliczności coraz bardziej wypędzają kobietę z domu, okoliczności ściśle związane z jej i dzieci bytem.

Zatrzymując się nieco dłużej w *Rozdziale III-cim* nad skutkami pracy kobiecej po za domem — w stosunku do dzieci — p. Lewiński cytuje poważne dane świadczące wyraźnie o większej śmiertelności wśród niemowląt karmionych sztucznie. Siedm razy tyle umiera ich z pośród jednakiej liczby — gdy pozbawione są piersi i opieki matczynej.

Charakterystycznym jest fakt, że śmiertelność wśród dzieci do 2-ich miesięcy ich życia jest prawie żadną, gdyż jest to termin, przed którym fabryki nie przyjmują „matek“. Dziecko, które przeżyło szczęśliwie pierwszy rok swego życia, w późniejszych nie może rozwijać się pomyślnie, gdyż warunki życiowe dalekie są od takich, które sprzyjają rozwojowi.

Matka, idąc do zajęcia o 6-iej rano, nie ma czasu przygotować śniadania, a szkoły otwierają o 7-iej latem, zimą dopiero o 8-iej. Pożywieniem bywają najczęściej zimne kartofle, śledzie, kawa i t. d. Jeśli złe odżywianie daje się dzieciom we znaki, niemniej ważną rolę odgrywa tu brak dozoru w kwestyi czystości ciała. Na tysiące dzieci dziewięćset cierpi na choroby skórne jedynie z nieporządku. Wypadki z ogniem, kończące się pożarem, pochłonięły w Anglii w latach 1899—1900 półtora tysiąca z górą dzieci. Z tych zaś 1425 stały się ofiarami dzięki temu, że nie miały dozoru.

Jak zapobiedz temu, co dziesiątkuje dzieci, co przyczynia się w znacznej mierze do zwyrodnienia młodej generacji? Jako jedyną odpowiedź uważa dotąd społeczeństwo „usu-

nięcie“ kobiety zamężnej z fabryk i przemysłu.

W rozdziale IV-ym autor „Macierzyństwa“ omawia tę kwestję, znajdując ten sposób jej rozwiązania za niedostateczny, nie rozwiązujący jej wcale. Za usunięciem kobiety przemawiali: Schmoller, Carton de Wiart — belgijczyk, ekonomista niemiecki Pohle i Rudolf Martin. Zapominają oni jednak, że nie fantazja, ale „nędza“ wygania kobietę z domu, zmuszanie jej do pracy innej, mniej korzystnej, a fizycznie cięższej, byłoby nietylko nieracjonalnem, ale nieludzkim, gdyż rzecz dowiedziona, że np. praca około rolnictwa, dając mniejsze dochody, wymaga większego nakładu sił fizycznych. Zajęcia zarobkowe „w domu“ nie rozwiązują kwestyi również, gdyż te same dane statystyczne dowodzą, że dzieci i wówczas pozostają bez opieki i starań matczynych. Nadto usunięcie kobiety z fabryki pociągnęłoby za sobą zwiększenie liczby konkubinatów, zmniejszenie małżeństw. Liczba dzieci naturalnych wzrosłaby znakomicie. Inspektorzy fabryczni niemieccy jednoznacznie, jeden tylko był „za“, odmawiają korzystnego znaczenia usuwaniu kobiet.

Jakąż więc radę, jaki sposób podaje *Rozdział V-ty* pracy J. Lewińskiego?

„Ponieważ „matka“ pracując po za domem — pisze on — nie może spełnić obowiązków swych względem dzieci — społeczeństwo, ogół powinien się tem zająć — pociągnie to „uspołecznienie“ obowiązków macierzyńskich.

Zwrócę więc uwagę czytelnika na doniosłość znaczenia tych instytucji, których liczba wzrasta wciąż, a które wzięły sobie za zadanie wyręczenia matki zarabiającej na życie. Z pomiędzy nich wymienię: żłobki, pierwszy ufundowano w Paryżu w r. 1844 za inicjatywą pewnego urzędnika, Marbeen. Obecnie liczba ich we Francji wzrosła do 400, istnieją wszędzie, we wszystkich krajach. Społeczeństwo pojęło swe obowiązki obejmujące zakres coraz większy — i tak karmienie dzieci w szkołach państwowych początkowych staje się faktem pospolitym. W roku 1871 ufundowano w Angers Towarzystwo filantropijne, które przy pomocy Rady Muncypalnej dostarczało darmo lub za 10 centymów obiady od listopada do końca maja. Paryż już w r. 1905-m wydaje na ten cel do miliona franków. W Anglii początkowo prywatne towarzystwa ponosiły koszty i trudy, później przegłosowane prawo zmusiło państwo do wzięcia udziału. Tak samo w Niemczech, Holandyi, Norwegii, Włoszech, Belgii.

Pochodzenia francuzkiego są tak zwane „Krople mleka“, rozpowszechnili je tam doktorzy Dufour i Variot. Za Francją poszły inne państwa (Warszawa ma instytut Barona Lenwala). Oprócz tych zakładów istnieje jeszcze „inspekcja medyczna szkolna“. Obejmuje ona kliniki dentystryczne. Kąpiele stały się nieodzownym warunkiem dobrego urządzania szkółek.

Ewolucja ta, która obowiązki matki przeniosła w ręce społeczeństwa dokonywała się wolno, bez rozgłosu i krwi, dlatego nie przez wszystkich dostrzeżoną została. Nie jest ona wynikiem teorii, doktryny, ale wy-

plynęła z przewrotów ekonomicznych, jest ich owocem, jak to w pierwszym rozdziale powiedziane zostało. Wobec tego uspołecznienia obowiązków macierzyńskich, czyż można twierdzić, że kobieta nie powinna zajmować się życiem ogółu, życiem społecznym — poprzestając jedynie na roli matki?

Takie instytucje jak żłobki, szkolki, krople mleka, wzywają kobiety do pracy wspólnej. Chcąc być „dobrą matką“ kobieta musi i powinna stać się dobrym i pożytecznym członkiem społeczeństwa, odczuwać jego potrzeby, iść z falą, która wylania wciąż nowe ideały — powinna zrozumieć doniosłość ofiar jednostki na rzecz ogólnego dobra. Uczucie macierzyńskie nie straci nic na tem — przeciwnie, wzmocni się, uszlachetni, z ciasnego egoizmu przedzierzgnie się w wielkie i czyste uczucie miłości bliźniego.

Matka, której dziecko doznaje opieki społeczeństwa, nie może pozostać obojętną i niewdzięczną. W duszy jej zapłonie miłość społeczna, uszlachetniająca i podniesie ją do godności człowieka“.

W tem streszczeniu pracy p. t. „Macierzyństwo i ewolucja kapitalistyczna“ podkreśliłam zaledwie ważniejsze punkty i myśl przewodnią autora, ciekawy dział statystyczny opracował autor bardzo sumiennie i wyczerpująco, nie unosi się żadną doktryną, stara się od początku do końca, jak to zaznaczył we wstępie, trzymać się słów Sombarta: „Je ne propose rien, je n'impose rien — j'expose“.

K. Łozińska.



## Z Tow. literatów i dziennikarzy.



D. 9. b. m. odbyło się w Polskiem Stow. literatów i dziennikarzy doroczne zebranie ogólne, sprawozdawcze i wyborcze. Przewodniczył redaktor Konrad Olchowicz.

Po zagajeniu przez przewodniczącego i uczczeniu przez powstanie pamięci ś. p. Wł. Bogusławskiego, pierwszy zabrał głos wice-prezes p. Jan Lorentowicz. Przemówienie to silne i stanowcze, imponujące było wyrazem wielkiej świadomości ideałów i celów stowarzyszenia, a porywało wprost podniosłym nastrojem, jaki mówca wprowadził odrazu, kładąc główny nacisk na podniesienie etycznej i umysłowej kultury polskiego dziennikarza, do najwyższego możliwie stopnia, co było myślą przewodnią założycieli stowarzyszenia. Po krótkiej charakterystyce działalności zarządu za rok ubiegły, zaznaczył p. Lorentowicz, iż wskutek opinii, wypowiedzianej przez Stowarzyszenie zostało ono napadnięte w sprawie dwóch literatów przez Kuryer Poranny, w sposób wysoce nieprzyzwoity, zarząd więc prosi członków, aby wypowiedzieli się w tej sprawie i dali mu swą opinię.

Następnie obszernie sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia odczytał sekretarz, redaktor Stefan Krzywoszewski. Stowarzysze-

nie liczy już 165 członków i w pierwszym roku założenia zdołało sobie złożyć kapitał z 5,000 rb. Jest to bardzo okazały objaw istnienia, jak na początek. Przez całą zimę urządzano wieczory dyskusyjne i szereg odczytów literackich z prelegentem i koreferentami.

Stowarzyszenie w myśl zasady swej, wyrażonej wielokrotnie w ustawie, zajmowało się gorąco regulowaniem i sądem sporów i wszelkich spraw swych członków, wbrew przewidywaniom najmniej stosunkowo przychodziło pod obrady spraw pomiędzy literatami a wydawcami. — Spraw tych było niewiele, a ze strony wydawców znajdowano zawsze dużo dobrych chęci polubownego załatwienia sprawy. Najwięcej zato zajmowano się sprawami polubownych sądów pomiędzy literatami i tu udało się zażegnać dużą liczbę ostrych zażądań.

Po sprawozdaniu wywiązała się ożywiona dyskusja nad działalnością Stowarzyszenia, w której to dyskusji zarząd uzyskał liczne pochwały i wyrazy uznania od członków.

W zakończeniu dla odparcia napaści Kuryera Porannego uchwalono dwa wnioski — pierwszy z nich — ogólny, potępiający wszelkie brutalne zaczepki w prasie, jako przeciwne etycznym dążeniom Stowarzyszenia, do podniesienia kultury dziennikarskiej i drugi w szczególności piętnujący wystąpienia Kuryera Porannego w danej sprawie.

Przystąpiono następnie do wyborów. Na miejsce członków: ś. p. prezesa Wł. Bogusławskiego i ustępujących wskutek wylosowania pp. Z. Dębickiego i L. Grendyszyńskiego wybrano: pp. Matuszewskiego Ignacego, Prusa Bolesława i Sadzewicza, na zastępców. Kotarbińskiego I, A. Oppmana i I. Szczutowskiego.

Dalej uchwalono przekazać specjalnej komisji projekt p. K. Hoffmana o biurze pośrednictwa pracy dla dziennikarzy i p. T. Konczyńskiego o kasie emerytalnej.

Zebranie ogólne zgromadziło dużą liczbę członków, świecący nieobecnością swoją tylko literatki i dziennikarki. Dlaczego? Bardzo smutny i bardzo irytujący jest ten fakt, że do stowarzyszenia, dającego kobietom pełne równouprawnienie w głosowaniu, w czynnym i biernym prawie wyborczem do zarządu i t. p. i t. p. należy mała tylko cząstka naszych dziennikarek, a i z tych, które należą przyszło zaledwie cztery! Les absents ont toujours tort, powiada francuskie przysłowie, dlaczego naszym dziennikarkom nie zależy na wzięciu żywego i czynnego udziału w życiu swego stowarzyszenia, na zaznaczeniu swej żywotności, swego wyrobienia, no i — dojrzałości, przygotowania do życia i spraw, choćby zawodowych tylko, na równi z kolegami mężczyznami? Gdy jest ku temu teren właściwy i z całą szczerą i dobrą wolą otwarty?

Jest to tem ważniejsze, że sprawa dziennikarek u nas jest w bardzo złym stadium. Dziennikarki dzielą się właściwie na dwie połowy. Do jednej należą współpracowniczki pisujące wyłącznie, lub przeważnie do pism kobiecych i ogółowi kolegów dziennikarzy prawie nieznanne, do drugiej zaliczają się

dziennikarki, które w pismach codziennych lub tygodniowych mają jakiś, zwykle drobny i błahy udział: jakieś sprawozdania, korekty nocne etc., i które zwykle przez ogół kolegów traktowane są trochę z góry, ironicznie i lekceważąco. Na palcach policzyćby można w Warszawie dziennikarki, które zdobyły sobie stanowisko, powagę w piśmie i w otoczeniu koleżeńskim i pewne nazwisko, pewien rozgłos poważnego współpracownika.

Ten stan rzeczy jest naturalnie wynikiem niedawnego przybycia kobiet do tej placówki, niedostatecznego często przygotowania umysłowego i życiowego, braku wyrobienia we właściwym kierunku i wskutek tego braku sił. Lecz właśnie poważnym środkiem zaradczym na te braki może stać się faktyczny i właściwy udział kobiet w Stowarzyszeniu Literatów i dziennikarzy. Koleżeństwo w zrzeczeniu, które dowiodło, że umie dać wyraz swej opinii o etycznej wartości pewnych czynów i faktów, musi wprowadzić stosunek koleżeński dziennikarzy i dziennikarek na właściwe tory, z drugiej strony czynny udział kobiet w posiedzeniach, dyskusjach i pracach Stowarzyszenia przynieść im musi duże korzyści kulturalne, a zarazem da im sposobność wykazania własnych zdolności, pracy, inicjatywy i t. p.

Tymczasem jednak wszystko to pozostaje w niedościgłej sferze pięknych widoków i i perspektyw na przyszłość, a dziś w Stowarzyszeniu kobiet jest mało, na zebrania nie przychodzą, nie zabierają głosu i są — zupełnie mimowoli, bez najmniejszego w tem udziału Stowarzyszenia, lecz po prostu siłą rzeczy, traktowane jako *quantité négligeable*.

Umiemy walczyć z całą energią, z ogromnym nakładem inicjatywy i siły aktywnej o dopuszczenie nas do szkół, instytucji, stowarzyszeń etc. obecnie dla nas zamkniętych. Trzeba by jednakże, oprócz tego, pomyśleć i o wejściu tam, gdzie nam zostawiają wstęp wolny i z całą dobrą wolą dla sprawy równouprawnienia, zapraszają do wspólnej pracy.

N. J.



## Otwarcie wystawy pracy kobiet.



Dnia 21-go b. m. po odprawionem zrana nabożeństwie w kościele Ś-go Krzyża otwarto o g. 4-ej po południu wystawę pracy kobiet. Wobec licznego grona składającego się z organizatorów wystawy, zaproszonych gości i przedstawicieli prasy, hr. Marta Krańska jako honorowa prezesowa komitetu organizacyjnego, przecięła wstęgę rozpiętą u wejścia do sali cyklistów, poczem ksiądz Skimborowicz dopełnił aktu poświęcenia wystawy i w krótkim przemówieniu zwrócił się do obecnych, podnosząc naukę pracy kobiecej i celowość tych zabiegów, które przyczyniają się do zapoznania ogółu z postępami na tem polu dokonanymi, a zarazem stanowią zachętę i bodziec dla pracujących.

Wystawa przedstawia się bardzo udatnie, wstrzymujemy się jednakże ze szczegółowym sprawozdaniem do następnego numeru, gdyż zgłoszenia eksponentek ciągle napływają i niektóre działy pokaźnie jeszcze dopełnione będą.

Z. B.



